

Łukasz Maślanka
Uniwersytet Wrocławski

Wikileaks: pogromca mediów czy stare w nowym wydaniu?

Pierwsze miesiące 2012 roku upłynęły w Polsce pod znakiem konfliktu, który można określić mianem sporu „realu” z „wirtualnym”. W wielu miastach (co godne podkreślenia, nie tylko w większych ośrodkach, jak Warszawa, Kraków czy Wrocław, ale też mniejszych miejscowościach, jak Tarnów) odbyły się wielotysięczne manifestacje przeciwko planom rządu. Protestujących nie zniechęciły nawet siarzyste mrozy, sięgające -20°C . Polakom udzielono wsparcia na arenie międzynarodowej, przeciwko ACTA protestowano między innymi we Francji, w Niemczech i Czechach. Do protestów przyłączyli się też hakerzy z całego świata, legitymujący się przynależnością do grupy Anonymous. Przez kilka dni atakowali oni strony internetowe polskich instytucji i organów administracji publicznej, paraliżując ich pracę, przyczyniając się jednocześnie do pierwszego tak poważnego ataku na infrastrukturę internetową w Polsce.

Punktem zapalnym konfliktu była wiadomość, że premier Donald Tusk w imieniu polskiego rządu podpisał międzynarodowy akt prawny Anti-Counterfeiting Trade Agreement (ACTA), czyli umowę handlową dotyczącą zwalczania obrotu towarami podrabianymi. Zapisy prawne zawarte w tym dokumencie, zdaniem protestujących Polaków, a także przedstawicieli organizacji pozarządowych (jak np. Fundacji Panoptikon), były zbyt surowe. Argumentowano, że ACTA może ograniczyć wolność wypowiedzi w Internecie, a jej przepisy stawiają prawa autorskie i majątkowe twórców oraz organizacji reprezentujących ich interesy ponad podstawowymi prawami człowieka, między innymi prawem do tajemnicy korespondencji, swobody wypowiedzi czy wolnego dostępu do dóbr kultury¹.

¹ *Panoptikon: ACTA nie rozwiąże problemu piractwa w internecie*, <http://wiadomosci.onet.pl/acta-5006294,temat.html> (wpis: 23 stycznia 2012).

Polskie protesty przeciwko uchwale ACTA, zdaniem badaczy i publicystów, nie były zdarzeniem *ad hoc*, lecz rezultatem procesu, który toczy się w Polsce z podobną dynamiką, jak w innych państwach świata z rozwijającą się infrastrukturą i gospodarką internetową.

Polska pod względem informatyzacji nie jest, zdaniem Światowego Forum Gospodarczego, krajem rozwiniętym, bo zajmujemy dopiero 62. miejsce w globalnym rankingu. Tak słabą ocenę zawdzięczamy niekompetencji administracji publicznej i polityków, którzy w tym samym zestawieniu nie mieszczą się nawet w pierwszej setce. Równocześnie jednak rozwija się społeczeństwo, które rozwija własne strategie modernizacyjne i włącza się do sieci z wielkim zapałem. Polska wersja Wikipedii pod względem liczby haseł należy do pierwszej światowej dziesiątki. Gospodarka internetowa rozwija się szybciej niż inne sektory i coraz bardziej zyskuje na znaczeniu. Recepta na konflikt gotowa. Oto bowiem z jednej strony czai się świat anachronicznych struktur, który chciałby ciągle legitymizować swą kontrolę nad informacją, lecz nie potrafi już nawet tego. Z drugiej — w życie wchodzi kolejne roczniki cyfrowych tubylców, które nie potrafią zrozumieć informatyczno-informacyjnych problemów państwa. Gdy jednak widzą, jak ten skostniały aparat próbuje nagiąć ich cyfrowy świat do swoich reguł, burzą się

— przekonuje Edwin Bendyk z tygodnika „Polityka” w swojej książce *Bunt sieci*².

Edwin Bendyk kreśli oś sporu między światem „analogowym” i światem „cyfrowym”. Idąc za badawczą i publicystyczną intuicją dziennikarza „Polityki”, w ten kontekst można też wpisać działalność portalu Wikileaks i jego założyciela, Australijczyka Juliana Assange’a. Uruchomiony w 2006 roku Wikileaks zgromadził miliony poufnych dokumentów, otrzymując je od anonimowych informatorów z całego świata. Na łamach portalu ukazała się dokumentacja między innymi dotycząca mordów dokonywanych na zlecenie przez policję w Kenii, o celowym ostrzelaniu przez załogę amerykańskiego śmigłowca wojskowego w Iraku grupy dziennikarzy i próbujących im pomóc Irakijczyków, o nagannych warunkach panujących w amerykańskiej bazie wojskowej na wyspie Guantanamo czy też depesze dyplomatów USA z całego świata, opisujące znanych polityków, m.in. Władimira Putina czy Nicolasa Sarkozy’ego. W listopadzie 2010 roku kilka dzienników o zasięgu globalnym — „New York Times” z USA, „The Guardian” z Wielkiej Brytanii, „El Pais” z Hiszpanii, „Le Monde” z Francji oraz „Der Spiegel” z Niemiec — opublikowało w tym samym dniu informacje dostarczone przez serwis Wikileaks. Były to dane z notatek sporządzanych przez dyplomatów amerykańskich pracujących na całym świecie. Ponad 250 tys. dokumentów dostarczył redaktorom Wikileaks szeregowy żołnierz US Army, stacjonujący w Kuwejcie analityk Bradley Manning, który wkrótce po tym został osadzony w areszcie i grozi mu wyrok nawet 25 lat więzienia. Globalne media przez niemal cały grudzień 2010 roku prezentowały zawartość ujawnionych przez Wikileaks akt.

Publikacje te trafiły do głównego nurtu dyskursu medialnego. Zrodziły też pytanie o rolę mediów tradycyjnych w świecie, gdy komunikacja internetowa zdobywa coraz większe znaczenie. Uprawnione stało się pytanie o rolę mediów klasycznych, skoro amatorski portal potrafił zdobyć temat dotychczas zastrzeżony dla profesjonalnych

² E. Bendyk, *Bunt sieci*, Warszawa 2012, s. 31–32.

redakcji. Czy tradycyjne media, jak stacje telewizyjne lub radiowe, a także prasa drukowana, są jeszcze w stanie pełnić swoją misję? I czy działalność Wikileaks wnosi nowy wkład w dziedzinę teorii medioznawczych, powodując jednocześnie, że należy zweryfikować przyjęte wcześniej definicje oraz pojęcia opisujące modele funkcjonowania systemów medialnych?

Działalność serwisu Wikileaks można ulokować w kontekście zasad i cech definiujących doktrynę odpowiedzialności społecznej mediów. Serwis stworzony przez Juliana Assange'a reklamuje się jako portal, który publikuje informacje niedostępne w innych (głównie mainstreamowych) źródłach. Tak zdefiniowane zasady i cele działalności przypominają o zasadach opisanych właśnie w doktrynie społecznej odpowiedzialności mediów. Zarówno Assange, jak i moderatorzy czy współpracownicy Wikileaks z całego świata zdają się wierzyć, że ich działalność w zakresie komunikacji masowej ujawnia informacje ważne z punktu widzenia jakości i transparentności ustrojów demokratycznych. Publikując informacje będące dotychczas w wyłącznej domenie organów władzy politycznej, Wikileaks powołuje się właśnie na ideały społecznej odpowiedzialności mediów, których obowiązkiem funkcjonalnym i etycznym jest dążenie do „prawdy”, objawiające się właśnie w publikowaniu niejawnych informacji, dając opinii publicznej dostęp do nieosiągalnych wcześniej źródeł wiedzy.

Charakterystyka działalności portalu Wikileaks czyni ją też komplementarną z założeniami opisanymi w definicjach komunikowania masowego. Teoria mediów społeczeństwa masowego mówi między innymi o mediach jako narzędziu kontroli zatamizowanego społeczeństwa. Twórcy Wikileaks zaś w oficjalnych przekazach opisujących ich działalność podkreślają, że dążą do przełamania hegemonii podmiotów operujących na rynku medialnym, wytrącając im przy tym monopol na kreowanie *agenda setting* za sprawą samodzielnego publikowania informacji o poufnej wcześniej charakterze, które nie znajdowały miejsca w oficjalnym dyskursie ani na skalę globalną, ani nawet krajową.

Funkcjonalistyczna teoria mediów masowych opiera się między innymi na założeniu, że media masowe mają znaczenie dla społeczeństwa w zakresie integracji, kooperacji, ładu, stabilności i kontroli. Wikileaks, poprzez swoją działalność, dąży do ułatwienia w sprawowaniu przez społeczeństwa kontroli nad władzą polityczną czy militarną, także za sprawą ujawniania ewentualnych nadużyć. Z punktu widzenia demokracji w Nigerii informacja o tym, że koncern paliwowy Shell korumpował wysokich urzędników krajowego rządu, ma z tej perspektywy kluczowe znaczenie. To zaś pozwala postawić tezę, że Wikileaks odpowiada założeniom przewidzianym w tej teorii mediów masowych.

Po wtóre, teoria krytyczno-polityczna mediów masowych opiera się między innymi na tezie, że media masowe w skali globalnej dążą do koncentracji, przez co jest w nich coraz mniej miejsca na głosy krytyczne wobec obowiązującego ładu polityczno-ekonomicznego, a interes publiczny jest wtórny wobec interesu ekonomicznego właścicieli mediów masowych i sprzyjających im grup interesu. Powyższy

opis definicyjny oddaje charakterystykę działalności portalu Wikileaks. Ideą, którą można określić jako motor napędowy tego portalu, jest właśnie przekonanie o nadmiernym uwikłaniu mediów (zarówno na skalę lokalną, jak i globalną) w rozmaite konflikty w obrębie poszczególnych grup interesu. W tym ujęciu Wikileaks jawi się jako niezależne — wolne od uwikłań personalnych, ekonomicznych czy politycznych — źródło poufnych i istotnych informacji, których odbiorcy nie uzyskają za pośrednictwem innych kanałów medialnych.

Publicysta „Krytyki Politycznej” Michał Sutowski wskazuje na emancypacyjny potencjał związany z działalnością portalu Wikileaks. Podkreśla, że działalność serwisu stworzonego przez Juliana Assange’a wzmacnia demokratyczne mechanizmy i wyposaża społeczeństwo obywatelskie w wiedzę o procesach determinujących kręgi władzy politycznej, która w ostatnich latach stawała się coraz bardziej ekskluzywna i niedostępna.

Wikileaks nie spowoduje rewolucji, nie zabije dyplomacji, nie wstrząśnie większym mocarstwem, pewnie nie obali nawet żadnej bananowej dyktatury. Ale oto społeczeństwo obywatelskie dostało niezły instrument kontroli. Zyskało choć trochę „przeciwładzy”, która pozwoli zrównoważyć rosnącą potęgę władzy wykonawczej. I, być może, skierować ją na bardziej demokratyczne tory. W ostatnich dziesięcioleciach państwo wcale nie osłabło — zmieniło tylko kierunek działania. Zaczęło być bardziej przyjazne dla wielkich korporacji i rynków finansowych. Na tym też odcinku skupiła się moc władzy wykonawczej państwa, coraz słabiej kontrolowanej przez parlamenty i w ogóle kogokolwiek. Dlatego gwarantujący anonimowość źródeł portal to niewielka przeciwwaga dla potężnych aparatów państwowych

— pisze Michał Sutowski³.

Publicysta wskazuje tu na oddolny mechanizm, angażujący jednostki w tworzenie komunikatorów masowych działających poza mainstreamem, ale dążących do umieszczenia swoich przekazów w głównym nurcie debaty publicznej. Z mechanizmem tym wiąże się jednak poważne ryzyko, a mianowicie — podporządkowania działalności zaangażowanych jednostek celom i planom grup kierowniczych owych serwisów. W przypadku Wikileaks trudno jednoznacznie orzec o motywacjach Juliana Assange’a. Odniósł on wszakże osobiste korzyści i zyskał globalną popularność, ale też za sprawą kierowanego przez siebie serwisu zdołał zrealizować część idei, które Wikileaks ma zawarte w swojej deklaracji ideowej.

Ryzyko komercjalizacji czy wręcz ukrywania czysto komercyjnych celów pod otózką odpowiedzialności społecznej, czy szerzej — oficjalnego dążenia do ideałów doktryny mediów społecznie odpowiedzialnych, by odnieść sukces komercyjny, czyli leitmotiv doktryny liberalnej — można uznać za poważne. Praktyczne działanie tego mechanizmu opisuje filozofka i socjolożka Kinga Dunin na przykładzie popularnego serwisu społecznościowego Facebook:

Teoretycznie Facebook jest wart 25 mld dolarów. Kto właściwie tworzy tę wartość? I dlaczego FB jest cokolwiek wart? Jasne, doceniemy twórców komputerowej aplikacji, to oni stworzyli tę fabrykę.

³ M. Sutowski, *Wikileaks — (przeciw)władza bez rewolucji*, <http://www.krytykapolityczna.pl/MichalSutowski/Wikileaks-przeciwwladzabezrewolucji/menuid-295.html> (wpis: 9 grudnia 2010).

Ale kto w niej pracuje? Pani, Pan, wszyscy — za darmo. Zazwyczaj nie rwiemy się do darmowej pracy, a tu proszę: przez pięć godzin dziennie, od świtu prawie bez przerwy, poświęcając odpoczynek i życie rodzinne, zapelniamy FB kontentem, dzięki któremu jest on wart właśnie tyle, na ile jest to szacowane

— przekonuje Kinga Dunin⁴.

Ten mechanizm niejako oddolnego tworzenia treści może być destrukcyjny dla internetowych serwisów (czy to blogerskich, czy opierających swą działalność na ideach podobnych do tych deklarowanych przez Wikileaks). Mechanizmy internetowe pozwalają bowiem angażować duże grupy odbiorców w tworzenie treści, na którą nie mają one zbyt dużego wpływu, a efekty ich pracy mogą być interpretowane wyłącznie w sposób pożądaný przez ciała kierownicze tego typu serwisów.

Treść i wartość Facebooka zależy właśnie od aktywności użytkowników. Koncerny medialne, jak ITI czy Agora, tworzą obywatelskie serwisy informacyjne, których gros treści „produkują” sami użytkownicy. Mowa tu o portalach interwencyjnych: Alert24.pl czy Kontakt24. Z kolei koncern Polskapresse prowadzi serwis Wiadomości24.pl, którego twórcami są w większości dziennikarze obywatelscy, nie pobierający (większość z nich; zatrudnieni redaktorzy są opłacani) za swoją pracę wynagrodzenia. Serwisy te reklamują się jako witryny „dla obywateli”, angażują ich aktywność, pozwalając właścicielom wzmocnić swój wizerunek w kierunku firmy odpowiedzialnej społecznie. Zarazem wykorzystują w większości darmową pracę, nie oferując zbyt wiele w zamian, mogą też dowolnie uprawiać *agenda setting* i *gatekeeping*, w oficjalnym odbiorze zachowując wizerunek mediów obywatelskich, a zatem bardziej etycznych. To zagrożenie warto brać pod uwagę w kontekście działalności portalu Wikileaks i serwisów, które powstaną dzięki inspiracji w postaci działalności Juliana Assange’a oraz jego współpracowników.

Moderatorzy portalu Wikileaks stosują zasadę gatekeepingu — na poziomie podstawowym poprzez wnikliwe weryfikowanie informacji dostarczanych na skrzynki mailowe. Specyfika działalności portalu, który publikuje informacje o głębokiej poufności, sprawia, że redaktorzy serwisu Wikileaks nie mogą odstąpić od stosowania zasady gatekeepingu. Wpisują się zatem w założenia teoretyczne przewidziane w teorii komunikowania masowego. Znamiona gatekeepingu nosi też działalność Juliana Assange’a w zakresie pozyskiwania partnerów z grona mediów tradycyjnych do publikacji posiadanych przez siebie materiałów. W czerwcu 2010 roku założyciel Wikileaks spotkał się z dziennikarzem brytyjskiego dziennika „The Guardian”, Nickiem Davisem. Redaktor przekonywał Assange’a, że samodzielna publikacja posiadanych przez Wikileaks materiałów i skupiona wyłącznie na Internecie może być przeciwnie skuteczna i przekaz nie trafi do tak szerokiego grona, jak powinien. Assange przyjął ten argument i zgodził się na współpracę nie tylko z „Guardianem”, ale też z amerykańskim „New York Timesem”. Później przekazał obu redakcjom, a także

⁴ K. Dunin, *FB-proletariat*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Dunin/FB-proletariat/menuid-68.html> (wpis: 19 listopada 2010).

niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel”, pierwszy pakiet materiałów, dotyczący działań armii USA podczas trwającej wojny w Afganistanie.

Datę publikacji wyznaczono na 25 lipca 2011 r. Redakcje przygotowały się do niej starannie, usuwając z raportów nazwiska afgańskich informatorów pracujących dla Amerykanów. Assange był przeciwny redagowaniu — wrzucił na stronę prawie surowych 90 tys. materiałów. Zarzucono mu, że naraził wielu ludzi na śmierć⁵.

Był to początek konfliktu na linii Assange–redakcje, z którymi współpracy się podjął. Spór wybuchł między innymi przy okazji planowanej publikacji materiałów posiadanych przez Wikileaks o wojnie w Iraku.

Assange żądał opóźnienia publikacji tych materiałów, bo chce dopuścić do spółki kilka innych mediów, w tym katarską telewizję Al-Dżazira i hiszpański dziennik „El País”. Redakcja „Guardiana” zgadza się pod warunkiem, że dostanie do obróbki trzeci pakiet informacji i tajnych dokumentów — 250 tys. raportów z ambasad USA na całym świecie. Assange waha się, nie ma już zaufania do dziennikarzy. Zgadza się dopiero, gdy „Guardian” podpisze zobowiązanie, że nie opublikuje ich i nie przekaze nikomu bez jego zgody⁶.

Pisemne zobowiązanie na nic się jednak zdało. Assange zażądał od „Guardiana”, by ten zaprzestał przekazywania swoich informacji do „New York Timesa” po tym, gdy na łamach amerykańskiego pisma ukazał się krytyczny wobec niego artykuł. Brytyjczycy odrzucili jednak jego roszczenia. Materiały z Iraku, a także kolejne — depesze z amerykańskich ambasad — i tak ukazują się na łamach pism. Assange zrywa po tym współpracę z mediami głównego nurtu.

Przytoczone powyżej wydarzenia wskazują, że szef Wikileaks stosował zasadę gatekeepingu na poziomie przekazywania informacji innym podmiotom. Dobierał partnerów do publikacji, decydował, kto i w jakiej ilości otrzyma materiały posiadane przez jego serwis, negocjował terminy publikacji. Wszystko to pozwala sądzić, że Wikileaks mieści się w opisach definicyjnych zasady gatekeepingu. Należy przy tym zaznaczyć, że serwis Wikileaks trudno traktować jak klasyczną redakcję medialną z siedzibą, adresem i danymi wymaganymi przez prawo, redaktorem naczelnym i zespołem pracowników, współpracowników i innych. Portal ten dysponuje szeregiem domen internetowych, grupą ludzi wykonujących pewne czynności (także weryfikacyjne czy redakcyjne), nie ma jednak statusu prawnego ani formalnego redaktora naczelnego. Niemniej jednak Wikileaks — za sprawą posiadanych materiałów i negocjacji z innymi mediami, tymi z nurtu nazywanego tradycyjnym — wkroczyło na arenę zarezerwowaną dotychczas wyłącznie dla klasycznych podmiotów komunikowania masowego.

Analiza działalności portalu Wikileaks, dokonana w kontekście obowiązujących i zaprezentowanych teorii medioznawczych, pozwala też wysnuć obserwacje doty-

⁵ M. Zawadzki, *Tajna historia Wikileaks: Co wyciekło o przecieku*, „Gazeta Wyborcza” 29–30 stycznia 2011.

⁶ *Ibidem*.

często pewnej modyfikacji w dziedzinie teorii *agenda setting*. Zakłada ona, że media masowe za sprawą prezentowanych przez siebie przekazów nadają rangę poruszonym przez siebie tematom. W ten sposób odbiorcy wyrabiają sobie pogląd o znaczeniu danej sprawy czy wiadomości. Teoria ta dotyczy jednak tylko mediów masowych, które można nazwać tradycyjnymi.

Portal Wikileaks pokazał, że wraz z rozwojem nowych mediów i dziennikarstwa internetowego, również media niezależne, opierające się na globalnej sieci, także mogą kreować własną *agenda setting*. Do tego niejako zmuszając tradycyjne media, by podążyły śladem informacji, które na wyłączność posiadają media internetowe. Do dyspozycji serwisu założonego przez Juliana Assange'a były bowiem wiadomości poufne, uzyskane w wyniku przecieku, do których inne media masowe nie dotarły. To ważna zmiana w kontekście dotychczasowych relacji na linii media tradycyjne–media internetowe. Wcześniej często stawianym mediom internetowym zarzutem było to, że w swojej praktyce niejako żerują na tym, co prezentują media tradycyjne. Zarzut ten był rozpatrywany zarówno na płaszczyźnie ekonomicznej (media tradycyjne płacą za newsy i pracę dziennikarzy, internetowe zaś w sposób nieuprawniony korzystają z cudzego wysiłku), jak i etycznej (media internetowe żyją z kradzieży cudzych informacji).

W przypadku Wikileaks tych zarzutów postawić nie można. Serwis ten własnym sumptem zdobył cenne informacje, dysponując przy tym możliwością samodzielnej ich publikacji i promocji swoich przekazów, między innymi w kanałach udostępnianych przez media społecznościowe. Tradycyjne media zostały przez Juliana Assange'a zaproszone do współpracy, próbował on też negocjować warunki publikacji, wybierając te informacje, które w jego ocenie były najistotniejsze. To zaś pozwala postawić tezę, że w drugiej dekadzie XXI wieku szeroko rozumiane media internetowe (bo należy pamiętać, że Wikileaks — jak wskazano wcześniej — nie jest klasyczną redakcją informacyjną) uzyskały zdolność do samodzielnego kreowania własnej *agenda setting*. Portal Wikileaks jest tu pionierem, możliwe też, że na sukces tej rangi osiągnięty przez inne medium internetowe odbiorcy przekazów masowych będą musieli poczekać. Uprawniona wydaje się jednak teza, że za sprawą Wikileaks doszło do symbolicznej zmiany w tej dziedzinie teorii medioznawczych, a mianowicie do pełnoprawnego dokooptowania mediów internetowych jako podmiotów zdolnych kreować własną *agenda setting*, w ramach której przewidziane przekazy są zdolne zaabsorbować uwagę odbiorców na całym świecie.

W kontekście powyższych rozważań uprawnione jest też pytanie, czy działalność serwisów internetowych w rodzaju Wikileaks czy też — ujmując zjawisko w szerszej perspektywie — mediów internetowych, przez niektórych zwanych „piątą władzą”, sprawia, że tradycyjne media tracą rację bytu. Moderatorzy serwisu zdobyli przecież informacje, które nie były dostępne dla tradycyjnych mediów, a uprawniona jest teza, że odbiorcy mediów masowych mogliby oczekiwać publikacji tego typu przekazów na antenie stacji telewizyjnych. Tak, jak dzieje się to w europejskich mediach (w tym

także polskich) przy okazji sprawy nielegalnych więzień CIA między innymi w Polsce, gdzie amerykańscy oficerowie wywiadu mieli stosować tortury wobec podejrzanych o działalność terrorystyczną. Dziennikarze „tradycyjni” docierają do dokumentów i publikują je na łamach, a są to przecież dane o charakterze podobnym do tych, które posiadało Wikileaks.

Znamienne jest jednak, że Julian Assange zdecydował, iż opublikuje poufne materiały informacyjne amerykańskich władz nie tylko na łamach swojego portalu, ale też z pomocą renomowanych dzienników prasowych o zasięgu globalnym. Taki wariant zapewnił mu to, że informacje przewidziane w jego *agenda setting* zyskają rozgłos na skalę światową. Wikileaks mogło promować swoje przekazy własnymi kanałami, opierając się głównie na linkowej strukturze Internetu. Ale nie miało przy tym gwarancji, że ich cel informacyjny zostanie osiągnięty — bynajmniej nie na masową skalę.

Pozytywnym efektem całej afery jest to, że okazało się, iż tradycyjne media — takie jak gazety — są jeszcze potrzebne. Nawet niezbędne, żeby uporządkować cały ten zalew informacji, wyciągnąć z niego istotne dane i umieścić w kontekście. Bez tradycyjnych mediów i kilku gazet, którym Assange udostępnił częściowo swoje zbiory, wiele osób nie byłoby w stanie przebrnąć przez potok depesz. Zwłaszcza że przypomina on raczej rwącą rzekę. Wody zdaje się w niej przybywać

— pisze publicystka Agnieszka Mazurczyk na łamach internetowego wydania tygodnika „Polityka”⁷.

Zdaniem francuskiego filozofa i teoretyka kultury Paula Virilio, immanentną cechą współczesnej cywilizacji jest właśnie informacyjny przesył. Mówi on o bombie informacyjnej⁸, która — osadzona głównie w cyberrzeczywistości — może wywołać poważne konsekwencje w rzeczywistości — tej spoza świata komputerów. To nadmiar informacji, którego nie można ułożyć w spójną całość, niepozwalający snuć alternatyw dla obowiązującego modelu relacji ekonomicznych czy społecznych, atomizujący społeczeństwa i mający w sobie potencjał wykluczenia wobec tych, którzy z różnych powodów nie mają dostępu do nowoczesnych technik komunikowania. W tę definicję wpisuje się działalność Wikileaks, którego przekazy miały charakter właśnie swoistej bomby — był to przekaz nieuporządkowany i nieopisany w sposób przystępny dla odbiorców. I dopiero współpraca z mediami tradycyjnymi pozwoliła wydobyć z posiadanych przez Wikileaks depesz dyplomatycznych i informacji potencjał zdolny absorbować uwagę opinii publicznej z całego świata.

W miarę rozwoju nowoczesnych technologii komunikacyjnych i całej sieci internetowej rosła presja — zwłaszcza pod względem szybkości przekazu — wywierana przez media internetowe na media tradycyjne. Globalna sieć dalej się rozwija, a postęp ten można metaforycznie ująć jako galopujące prawo Moore’a⁹. Im większy

⁷ A. Mazurczyk, *Wiki, przecieki i skutki*, <http://www.polityka.pl/swiat/analizy/1511494,2,Wikileaks-jak-zmieni-swiatowa-polityke.read> (wpis: 18 lipca 2011).

⁸ Por. P. Virilio, *Bomba informacyjna*, Warszawa 2006.

⁹ Prawo Moore’a, http://pl.wikipedia.org/wiki/Prawo_Moore'a (wpis: 18 lipca 2011).

będzie zasięg Internetu, tym większego wpływu mediów internetowych można się spodziewać w dziedzinie komunikacji masowej i przekazów informacyjnych. Tym bardziej że Internet pozwala na szeroką integrację różnych środków przekazu, pozwalając na łączenie przekazów dźwiękowych, tekstowych i wizualnych. W ten sposób stacje radiowe mogą prezentować filmowe audycje *live* ze studia, na przykład w trakcie rozmów na żywo, a stacje telewizyjne dodawać swoje materiały na łamy tekstowych portali informacyjnych. Ta konwergencja ma miejsce już obecnie i wydaje się, że będzie nie tylko chwilowym trendem, ale elementem spajającym działalność tradycyjnych mediów informacyjnych ze światem Internetu.

Przykład Wikileaks pokazuje jednak, że media internetowe nawet w przypadku publikacji ekskluzywnych materiałów informacyjnych opierają się na strukturach i renomie wypracowanych przez media tradycyjne. Możliwe jest, że będzie rosła presja ze strony mediów internetowych czy sfery internetowej „piątej władzy” na przekazy publikowane przez media tradycyjne. Wikileaks jest tego najlepszym dowodem. W wymiarze polskim znamienity jest tu przykład ze stycznia 2011 roku, gdy na łamach internetowego forum dyskusyjnego infoKolej opublikowano film prezentujący szereg stojących na bocznicach kolejowej, nowoczesnych, ale nieużywanych wagonów spółki PKP InterCity. Działo się to w chwili, gdy przewoźnik ten miał poważne problemy z zapewnieniem odpowiedniej ilości miejsc dla podróżnych w swoich składach. Tematem zainteresowały się stacje telewizyjne i między innymi „Gazeta Wyborcza”, co pozwoliło nagłośnić go na skalę krajową i wymusić na władzach spółki odpowiednie decyzje.

Schodząc zaś do wymiaru lokalnego, dobrym przykładem obrazującym synergię mediów internetowych i tradycyjnych był blog „Wrocław z Wyboru”, na którym podczas powodzi w maju 2010 roku internauci zamieszczali bieżące informacje o sytuacji hydrologicznej w mieście czy prośby o pomoc i wsparcie w umacnianiu wałów przeciwpowodziowych na kryzysowych odcinkach. Było to najlepsze i najbogatsze wówczas źródło informacyjne na temat sytuacji powodziowej we Wrocławiu, pochodzące przy tym spoza sfery mediów tradycyjnych i tworzone przez internautów, a nie przez jednostki w jakikolwiek sposób związane profesjonalnie z mediami tradycyjnymi. Wiadomości z bloga przekazywały też media tradycyjne, tworząc synergię, która przy tym pozwoliła zorganizować społeczną sieć reagowania.

W tym ujęciu portal Wikileaks można uznać za globalne (i niejako symboliczne) ukoronowanie procesów, które od dłuższego czasu — wraz z rozwojem nowych mediów — toczyły się we współczesnych systemach medialnych. Uprawnione będzie stwierdzenie, że Wikileaks wprowadziło dziennikarstwo internetowe (czy internetową działalność informacyjną) do głównego nurtu debaty, dodając mu rangi, pewnej sympatii i zaufania ze strony odbiorców, promując też w pewnym sensie wartości i zasady określające doktrynę społecznej odpowiedzialności mediów. Wydaje się jednak, że w tym głównym nurcie Wikileaks (także jako symbol holistycznie ujmowanej „piątej władzy”) zajmuje miejsce OBOK mediów tradycyjnych, a nie ZAMIAST

nich. I oczekiwanie zmierzchu tradycyjnych mediów nie wydaje się racjonalne. Wraz z rozwojem technologii i Internetu nastąpić mogą zmiany strukturalne, a synergia mediów tradycyjnych i internetowych może się pogłębiać.

Co oczywiste, mogą też narastać spory. Ale przykład Wikileaks pokazuje, że ani media internetowe nie są (przynajmniej jeszcze) w stanie formułować przekazów o odpowiednim rozgłosie na globalną skalę, ani media tradycyjne — z różnych powodów, między innymi postępującej tabloidyzacji czy uwikłania w ekonomiczne spory grup interesu — nie są już w stanie kreować samodzielnie *agenda setting* i straciły monopol na mówienie o tym, co jest ważne i z jakich powodów.

Początkowo Wikileaks nie zamierzał dzielić się swoimi zdobyczami z kimkolwiek, a już na pewno nie przed publikacją na swojej stronie internetowej. Przy pierwszych przeciekach Assange sądził, że wzbudzą zainteresowanie ludzi, którzy wiedzą, gdzie w Internecie wyszukiwać informacje, a potem będzie o nich głośno dzięki poczcie pantoflowej. Tak się jednak nie stało i przecieków tych właściwie nikt nie zauważył, m.in. dlatego, że było ich za dużo i były zbyt trudne do przeczytania. Prawdziwa kariera portalu rozpoczęła się, gdy w lipcu 2011 r. Assange postanowił zacząć współpracę z dużymi tytułami prasowymi. Zrozumiał, że niezinterpretowane depesze nie interesują przeciętnego czytelnika, który woli, by zwrócić mu uwagę na to, co ważne, a to potrafią robić dziennikarze. Assange dostrzegł też, że tradycyjne media nadal mają większy prestiż niż Internet i wciąż większą liczbę czytelników

— zauważa Beata Biel, dziennikarka miesięcznika „Press”¹⁰.

Działalność portalu Wikileaks i — jak już wyżej stwierdzono — wprowadzenie dziennikarstwa internetowego na te, by ująć to metaforycznie, salony globalnych mediów masowych nasuwa też pytania o rolę dziennikarzy w tak formującym się ładzie medialnym, łączącym współpracujące, ale niewolne też od rywalizacji (która może narastać) światy. Przed nastaniem epoki Web 2.0 (czy przed epoką wykładniczego rozwoju Internetu w ogóle) to dziennikarze i redakcje były najskuteczniejsze w pozyskiwaniu, redagowaniu i publikowaniu informacji. To zaś, że media masowe funkcjonowały w realiach definiowanych w doktrynie liberalnej mediów, sprawiało, iż zmuszone były do rywalizacji komercyjnej na ilość lub też jakość przedstawianych czy też sprzedawanych informacji. Efektem tych procesów były narodziny między innymi zjawiska *infotainment*, czyli łączenia rozrywki z informacją (z naciskiem na rozrywkę) tak, aby zachęcić widza do obejrzenia audycji, wysłuchania audycji radiowej czy lektury tekstu.

Z tym zjawiskiem wiąże się też fakt, że większa ilość czasu antenowego czy gazetowych szpalt poświęcona na rozrywkę automatycznie zmniejszała pole działania dla dziennikarstwa zaangażowanego społecznie. W miarę rozwoju Internetu i w związku z narodzinami „piątej władzy” (będącej nią mimo wszystko bardziej *de iure* niż *de facto*), kruszała przewaga mediów tradycyjnych na polu kreowania *agenda setting*, gatekeepingu i zbierania informacji. Posiadający kamerę wideo (lub zgoła w miarę nowoczesny telefon komórkowy) obywatel może sam odwiedzić na przykład sesję

¹⁰ B. Biel, *Detronizacja śledczych*, „Press” 2011, nr 2.

radę miejskiej, by nakręcić mowy radnych lub debatę o ważnym społecznie problemie. Dziś, gdy dostępne są takie serwisy, platformy blogowe, Facebook czy Twitter, znalezienie odbiorców dla swoich treści nie jest zadaniem trudnym. Rzecz jasna, nadal nie jest to skala, którą mierzy się działalność i skuteczność informacyjną mediów masowych. Jednakże trudno też lekceważyć możliwości udostępniane każdej jednostce przez Internet i nowoczesne technologie.

Ten szkic pozwala wysunąć tezę, że wraz ze zmianą relacji między mediami tradycyjnymi a internetowymi zmieniła się rola dziennikarzy. W dość radykalnym ujęciu przemianę tę określono nawet jako redukcję profesjonalnych dziennikarzy do roli biernych odbiorców cudzej pracy, ograniczonych do redagowania cudzych materiałów.

Zastanawiające jest, co takiego się stało, że whistleblowerzy (osoby, które chcą ujawnić opinii publicznej malwersacje, korupcję, łamanie prawa w instytucjach publicznych) zwrócili się w stronę prywatnego portalu internetowego, nie zaś do uznanych redakcji zatrudniających dziennikarzy śledczych? Jeśli wierzyć, że Wikileaks rzeczywiście nie płaci za otrzymane dokumenty, to można przypuszczać, iż powodem jest rosnąca utrata zaufania do mediów. Choć prawda to bolesna, Wikileaks sprowadził rolę dziennikarzy do weryfikowania informacji, redagowania ich i umieszczania w pewnym kontekście. To zawsze jakieś zajęcie — ale raczej dla naukowców

— krytykuje Beata Biel z miesięcznika „Press”¹¹.

Powyższy cytat jest dość radykalny w swej wymowie, ale oddaje pewne zjawisko. Rosnąca koncentracja i komercjalizacja mediów sprawia — jak wcześniej wskazano — że na rynku medialnym dominuje tabloidyżacja i zjawisko infotainmentu. Dziennikarze, włączeni do komercyjnego wyścigu o jak najlepszy wynik komercyjny swoich macierzystych redakcji, często nie podejmują tematów, które są mało atrakcyjne z punktu widzenia sprzedażowego, za to ważne ekonomicznie. To zaś sprawia, że najlepszy news to news głośny, o zabarwieniu skandalizującym, opisujący poważne afery czy nadużycia. Tę swoistą lukę coraz częściej zagospodarowuje sfera dziennikarstwa internetowego czy też blogerzy. Mówiąc obrazowo — coraz mniej jest dziennikarstwa w dziennikarstwie tradycyjnym, a coraz więcej dziennikarstwa społecznego, lokalnego, oddającego problemy miast, osiedli itp., jest w sferze internetowej. Dzieje się tak za sprawą łatwej dostępności środków przekazu pozwalających konstruować własne przekazy i docierać z nimi do stosunkowo szerokich grup odbiorców (przykład — tekst na blogu o zniszczonym placu zabaw na osiedlu, opatrzone zdjęciami, promowany na Facebooku i Twitterze). Gdy temat taki trafi do profesjonalnej redakcji, może zostać poddany obróbce na przykład w postaci rozmowy z osobami odpowiedzialnymi, a później — za sprawą użycia kanału komunikowania masowego o większej renomie i prestiżu — wywarciem wpływu na czynniki decyzyjne. Tyle że w realiach współczesnych systemów medialnych (rozpatrywanych łącznie z mediami internetowymi) można liczyć na powodzenie podjętej przez siebie akcji

¹¹ *Ibidem*.

informacyjnej, działając na własną rękę, poza realiami na przykład gry ekonomicznej i korzystając z kanałów niezależnych od medialnego mainstreamu. W tym ujęciu portal Wikileaks można uznać za zwieńczenie tego rodzaju mechanizmu oddolnej troski o jakość dostępnych informacji i ułatwienie dostępu do informacji kluczowych z punktu widzenia społecznego. Wydaje się przy tym, że tego typu przekazy masowe w Internecie — konstruowane nie tylko przez redakcje, blogerów, ale też jednostki aktywnie korzystające z nowych technologii i mediów społecznościowych — mogą przybierać na częstotliwości. Jak przekonuje bułgarski politolog prof. Ivan Krastev, tendencję do swoistej „obywatelizacji przekazów masowych” może wzmacniać narastające niezadowolenie społeczne w różnych państwach świata.

Na zewnątrz sytuacja wygląda podobnie jak w latach 60. Znów polityka wyszła na ulice. Wraca polityczny radykalizm. Wraca problem delegitymizacji władzy. Ale jest fundamentalna różnica. Radykalizm lat 60. niósł żądanie zmiany. A obecny zasadniczo broni *status quo*. Mamy pewnie pierwszy w dziejach uliczny radykalizm młodego pokolenia, który zwraca się przeciw zmianom. Przeciwko zmianie prawa emerytalnego. Przeciwko cięciom socjalnym. Przeciwko podwyższaniu czesnego na studia¹².

Znamienne przy tym jest, że zarówno rewolucjoniści podczas zamieszek na początku 2011 roku w Egipcie i Tunezji, protestujący przeciwko reformom gospodarczym czy społecznym członkowie hiszpańskiego Ruchu 15 Maja, jak i protestujący przeciwko autorytarnej władzy w Iranie w 2009 roku korzystali z mediów społecznościowych, blogów czy portali internetowych, by formułować swoje przekazy lub też apelować do zagranicznej opinii publicznej. I to ze sferą Internetu władza polityczna walczyła w sposób intensywny, tak jak w Egipcie, gdzie — chcąc odciąć obywatelom Internet w sposób skuteczny — w wielu miastach wyłączano prąd. Dlatego też możliwe jest, że na owym podglebiu politycznego niezadowolenia rola mediów internetowych będzie rosła, a one same staną się coraz ważniejszą przeciwwagą dla mediów tradycyjnych. Portal Wikileaks w warstwie symbolicznej można potraktować jako jednego z patronów tych dążeń.

Rosnąca rola dziennikarstwa internetowego (czy też Internetu jako środka przekazu w ogóle) sprawia, że konieczne jest postawienie pytania o modyfikację zasad etyki dziennikarskiej. Tradycyjne, zarejestrowane formalnie redakcje funkcjonują w oparciu o normy przewidziane przez stanowione prawo, głównie o zasady prawa przewidzianego wyłącznie dla dziennikarzy i redakcji. Istotnym elementem mającym wpływ na kierunki działalności redakcji jest etyka dziennikarska, której normy powinny być dla każdego dziennikarza zasadami kanonicznymi. To między innymi takie zasady, jak przekazywanie rzetelnych i bezstronnych informacji oraz różnorodnych opinii, a także umożliwianie udziału w debacie publicznej, oddzielanie informacji od komentarza, obowiązek oddania głosu dwóm lub kilku źródłom informacji

¹² I. Krastev, *Julian bez ziemi*, rozmowa z J. Żakowskim, tygodnik „Polityka” 8 stycznia 2011, nr 1 (2789).

czy też ochrona intymności i prywatności rozmówców, a także sankcjonowany prawem prasowym obowiązek ochrony źródeł informacji¹³.

Otwarta pozostaje kwestia, czy w dobie infotainmentu etyka dziennikarska może należycie odgrywać swoją rolę. Znacznie istotniejszy wydaje się problem wiążący się z rosnącą rolą mediów internetowych czy szeroko rozumianej „piątej władzy”. Blog internetowy nie jest redakcją. Portal społecznościowy również nie jest redakcją. Za klasyczną redakcję, jak wspomniano we wcześniejszej części pracy, trudno uznać też sam portal Wikileaks. Autor internetowego podcastu radiowego w klasycznym rozumieniu tego słowa nie jest dziennikarzem, podobnie jak nie jest nim użytkownik serwisu społecznościowego czy blogger. Przekazy nadawane przez niego do masowego odbiorcy mogą jednak docierać z podobną skutecznością, co przekazy mediów tradycyjnych. O ile dziennikarz, w razie ewidentnego naruszenia standardów zawodowych, może zostać objęty zawodowym ostracyzmem, dziennikarz internetowy czy blogger na takie konsekwencje narażony być nie musi. Zwłaszcza że średnio zaawansowany użytkownik Internetu może skorzystać z metod zapewniających daleko idącą anonimowość.

Na przykład przy okazji publikacji materiałów źródłowych o wojnie USA w Afganistanie i Iraku Julianowi Assange'owi zarzucano, że publikując na łamach Wikileaks dane o tajnych informatorach wojsk amerykańskich w tych państwach, naraża ich na utratę życia. Dziennikarze „New York Times”, „The Guardian” czy „Der Spiegel” przez kilka dni pieczołowicie zamazywali imiona i nazwiska tych osób. Gdyby tego nie uczynili, naraziliby swoją reputację i renomę na poważny szwank. Julian Assange ponosił wyłącznie ryzyko osobiste, a jak pokazały jego dalsze losy, nie to stało się źródłem jego problemów z brytyjskim wymiarem sprawiedliwości. Rodzi to poważne napięcie na linii media tradycyjne–media internetowe. Skoro dziennikarze mediów tradycyjnych, poddani przez media internetowe presji szybkości w podawaniu informacji, dodatkowo objęci są wymogami etyki dziennikarskiej, których nie muszą przestrzegać operujący na polu informacyjnym nadawcy internetowi niebędący dziennikarzami, może rodzić to pokusę swobodnego traktowania norm etycznych. Tym bardziej że z drugiej strony rośnie presja ekonomiczna i komercyjna. Wydaje się więc, że konieczne będzie uregulowanie problemu odpowiedzialności etycznej jednostek trudniących się internetową działalnością informacyjną czy redakcji internetowej od strony legislacyjnej, bo kodeksy etyki dziennikarskiej (czy ogólnie informacyjnej) dla Internetu mogą okazać się nieskuteczne.

Istnieje też inne strukturalne zagrożenie, związane z samą konstrukcją Internetu. Wraz z rozwojem nowoczesnych telefonów komórkowych czy tabletów multimedialnych zmienić się może struktura globalnej sieci. Dziś Internet funkcjonuje jako

¹³ Kodeks etyki dziennikarskiej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, za: <http://www.tvp.pl/otvp/komisja-etyki/inne-kodeksy-etyczne/kodeks-etyki-dziennikarskiej-stowarzyszenia-dziennikarzy-polskich/69917> (wpis: 19 lipca 2011).

hipertekstowy zbiór, linkujący z milionami informacji w jednej chwili. Jakakolwiek forma jurysdykcji nad tak skonstruowaną siecią jest niemożliwa, a w najlepszym razie bardzo trudna do osiągnięcia. *Casus Wikileaks* pokazał to dobitnie, bo nawet gdy z obsługi portalu wycofywały się renomowane firmy hostingowe czy obsługujące internetowe mikropłatności, serwis ten — mimo perturbacji — zdołał się utrzymać w globalnej sieci. W miarę rozwoju sieci opartej w sporej części na urządzeniach mobilnych, Internet może być łatwiejszy do kontrolowania. Ruch w sieci będzie się bowiem odbywał za sprawą dedykowanych, tematycznych aplikacji. Sprawa Wikileaks również pokazała, jak może przebiegać ten proces. W chwili gdy wokół Juliana Assange’a i samego portalu narastała atmosfera skandalu, firma Apple usunęła umożliwiającą dostęp do zasobów Wikileaks aplikację ze swojego AppStore. Nietrudno wyobrazić sobie, jak łatwa może stać się cenzura (lub chociaż ograniczanie dostępu do zasobów sieci) w chwili, gdy Internet dla dużej części odbiorców będzie dostępny właśnie w smartfonach. Na problem ten, choć w nieco innym kontekście, zwraca uwagę francuski medioznawca Bernard Poulet:

Wydaje się, że zbliżamy się do chwili, gdy obok Internetu dostępnego dla wszystkich, powolnego, chaotycznego i ociążałego technologicznie, pojawi się taki Internet, za który trzeba będzie zapłacić więcej, jeśli będzie się chciało korzystać z usługi na przyzwoitym poziomie¹⁴.

Tak skonstruowany Internet może oferować usługi niskiej jakości dla użytkowników, którzy nie chcą lub nie mogą płacić więcej za korzystanie z globalnej sieci. Wówczas można się spodziewać, że w tego rodzaju globalnej sieci stanem normatywnym będzie informacja przypadkowa, promowana przez tzw. farmy kontentu (narzędzia do pozycjonowania danej treści w internetowych przeglądarkach nie na bazie jej jakości, lecz masowości) i trudna do opanowania dla przeciętnego użytkownika. Jej opozycją może być zaś — jak twierdzi Poulet — sieć szybka technologicznie, bogata w informacje dobrze opracowane i wyselekcjonowane, a co najważniejsze — dostępna dla użytkowników o odpowiednim statusie majątkowym.

W sieci internetowej o charakterze podobnym do nakreślonego powyżej informacje podawane przez Wikileaks mogłyby przejść bez echa. Podmioty informacyjne działające w Internecie, nazwijmy go roboczo, „wyższego rzędu”, mogłyby tak kierunkować swoją *agenda setting*, by omijać przekazy portalu Juliana Assange’a lub podobnych. W ten sposób potencjalne atuty społeczne tego rodzaju przekazów mogłyby zostać poważnie okrojone, między innymi dlatego, że trudno oczekiwać, by ludzie należący do szeroko rozumianego kręgu elit korzystali z Internetu gorszej jakości. A to za ich sprawą informacje podawane przez Wikileaks mogłyby nabrać dodatkowego charakteru, większego zasięgu i potencjalnej mocy politycznej.

W lipcu 2011 roku w Wielkiej Brytanii odbywały się niemalże równoległe dwa procesy postaci, które można określić mianem symbolicznych dla sfer medialnych,

¹⁴ B. Poulet, *Śmierć gazet i przyszłość informacji*, Wołowiec 2011, s. 270.

w których funkcjonują. Londyński sąd rozpatrywał wniosek szwedzkich organów ścigania o ekstradycję Juliana Assange'a do Szwecji. Natomiast brytyjscy śledczy prowadzili śledztwo w sprawie nielegalnych podsłuchów zakładanych osobistościom życia politycznego i społecznego, a także zwykłym obywatelom, przez dziennikarzy tabloidu „News of The World”. Gazeta ta należała do Ruperta Murdocha, który zlikwidował ją po ujawnieniu łamania prawa i który stanął — wraz ze swoim synem Jamesem, wysokim pracownikiem rodzinnego koncernu News International — przed komisją śledczą brytyjskiego parlamentu.

Oceniając od strony formalnej, obu mężczyźn nie łączą wspólne zarzuty. Assange może odpowiedzieć za rzekomy gwałt na dwóch Szwedkach, a Rupert Murdoch oskarżany jest o tajenie procederu nielegalnych podsłuchów w gazecie, która do niego należała. Obie postacie można jednak połączyć wspólnym mianownikiem. Assange stał się wrogiem publicznym w USA po tym, gdy w sposób nieautoryzowany zdobył i opublikował poufne informacje organów władzy politycznej i militarnej. Gazeta należąca do Ruperta Murdocha, „News of The World”, za pomocą nielegalnych podsłuchów zdobywała sekretne informacje z osobistego życia polityków, aktorów czy na przykład rodzin dotkniętych tragediami, by zapewnić sobie jak najlepsze wyniki sprzedaży, czyli — ujmując w skrócie — łamała prawo w celu osiągnięcia jak najwyższego zysku i poprawy swojej sytuacji w realiach rynkowej konkurencji.

W skandalu Murdocha jedno jest ważne — dla lewicy, dla liberałów, dla konserwatystów. To, że w ramach niszczenia przez rynek wszystkich swoich nierynkowych fundamentów i regulacji, po prywatyzacji sektora publicznego, po prywatyzacji wojny, nastąpiła prywatyzacja podsłuchów. Na skalę ogromną. Uderzająca już nie tylko w „celebrytów” (kto by się wzruszał prywatnością Dody, Hugh Granta czy Gordona Browna), ale też w anonimowe ofiary brutalnych morderstw i ich rodziny, w szeregowców z Afganistanu i ich rodziny, a nawet w ofiary zamachów 11 września i ich rodziny, do których telefonów komórkowych i poczt głosowych wspierające „moralną większość” amerykańskie media Murdocha też próbowały się włamać, żeby móc rzucić na pierwszą stronę jakieś malownicze „Aaaggrhh!!!” człowieka palącego się w wieży. Zatem chciałbym, żeby skandalu prywatyzacji podsłuchów Murdoch nie przeżył. Nawet jeśli wiem — obserwując jego siłę w Anglii, a wcześniej w Ameryce — że nie tylko przeżyje, ale jego media będą nadal wpływały na wyniki wyborów w USA, w Wielkiej Brytanii... niszcząc i wydrążając wszystko, co jest mi bliskie, nie tylko „północnoeuropejską socjaldemokrację”, ale także „północnoeuropejski liberalizm” i „północnoeuropejski konserwatyzm”

— uważa Cezary Michalski¹⁵.

Dlatego można postawić tezę, że Julian Assange i Rupert Murdoch mogą służyć za sztandarowe postaci pewnych modeli medialnych czy norm, w których media masowe funkcjonują. Dla zwolenników wolnego obiegu informacji i prawa obywateli do dostępu do jak najszerszego zasobu wiadomości o funkcjonowaniu władzy państwowej Assange będzie symbolem skutecznego dążenia do tych aspiracji. Z kolei Rupert Murdoch będzie swoistym okrętem flagowym dla tych, którzy wierzą, że media

¹⁵ C. Michalski, *Dlaczego trzeba jednak zabić Murdocha*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Cezary-Michalski/DlaczegotrzebajednakzabicMurdocha/menuid-291.html> (wpis: 19 lipca 2011).

masowe powinny głównie zarabiać pieniądze, handlując informacją, nie pełniąc przy tym jakiegokolwiek społecznej misji.

Każda z nakreślonych powyżej idei niesie ze sobą inne, które pozwoliłyby określić stosunkowo spójne systemy ideologiczne zwolenników zarówno Assange’a, jak i Murdocha. Nie analiza ideologii jest jednak tematem tego tekstu, lecz wpływ Wikileaks na globalne systemy medialne, a także, jak działalność portalu Juliana Assange’a może wpłynąć na zmiany w ich funkcjonowaniu. Dlatego teza, że w najbliższych latach spór między zwolennikami wolnego dostępu do informacji (wierzącymi w Wikileaks, przekazy podawane przez media internetowe i blogi) a stronnikami działalności medialnej prowadzonej przez Ruperta Murdocha (dla zysku, w sposób skandalizujący, wolny od ideologii czy aspiracji do pełnienia przez media masowe służby społecznej) będzie najważniejszy i najgorętszy, a zwycięstwo jednej z opcji może mieć wpływ na kierunek głębokich przemian, do których może dojść w systemach medialnych poszczególnych państw.

Nie sposób jednoznacznie stwierdzić, na którą z naszkicowanych tu stron przechyli się szala zwycięstwa. Wydaje się jednak, że antagonizm i polaryzacja stanowisk między zwolennikami mediów internetowych (zdaniem ich stronników wolnych, niezależnych i prawdziwych) a zwolennikami mediów tradycyjnych (akceptowalnych w formie, w jakiej funkcjonują obecnie, łącznie z nadrzędną zasadą zysku wydawcy) będzie się nasilać i sytuacje sporne, jak ta, która miała miejsce po gwałtownej erupcji popularności serwisu Wikileaks, mogą się powtarzać. Nie można jednak wykluczyć sytuacji, że media internetowe w swojej większości zostaną poddane — jak niegdyś media tradycyjne — dyktatowi ekonomicznej konieczności. To zaś może nieść ze sobą poważne, negatywne implikacje.

Jeśli dziennikarze przestaną zadawać trudne pytania także sobie i jeśli przestaną szukać na nie odpowiedzi, jeśli zamiast treści będzie się produkować dowolny „kontent”, jeśli redakcje nadal będą przegrywać swoją wiarygodność i pozwolą degradować się do roli trybika w gigantycznej maszynie przemysłu reklamowego i rozrywkowego — wówczas perspektywy dziennikarstwa i potrzebnej nam wszystkim informacji nie będą się rysować zbyt optymistycznie¹⁶.

W tym kontekście, działalność serwisów takich jak Wikileaks, a także blogów internetowych czy niezależnych, działających tylko w Internecie, serwisów informacyjnych, może być sprowadzona wyłącznie do roli ekscesu. A główny nurt dyskursu medialnego zostanie na stałe wchłonięty przez podmioty, których głównym zadaniem będzie produkowanie zdefiniowanych przez Daniela Dayana i Elihu Katza „wydarzeń medialnych”, które same w sobie są newsem, ale rodem z Baudrillardowskiego symulakrum, nie oddając odbiorcom tego, jak prezentuje się „realna” rzeczywistość. Natomiast internetowe przekazy informacyjne mogą na stałe utknąć w niszy, gdzie wyszukają je tylko ci, którzy będą do tego zdeterminowani.

¹⁶ M. Chyliński, S. Russ-Mohl, *Dziennikarstwo*, Warszawa 2007, s. 376.

Wikileaks: a media killer or a new version of the old?

Summary

The paper is devoted to two issues. The first is an analysis of the operation of the Wikileaks website in the context of the mass communication theory: does Wikileaks bring a new quality to the mass communication theory or can its operation be presented within the existing theoretical framework? The other issue discussed by the author is the hypothesis according to which Wikileaks (or, more broadly, social media and other new communication technologies) signifies a decline of traditional journalism.

Keywords: internet journalism, Wikileaks, new technologies of mass communication, new media.